

## Jan Rokita: Spór cesarsko-papieski

Czy wolno krytykować papieża? Czy wolno na przykład twierdzić, że papież prowadzi „okropną politykę zagraniczną”? Albo też radzić papieżowi, aby „wziął się w garść”, „kierował się zdrowym rozsądkiem”, „przestał nadszkakiwać radykalnej lewicy” i „był Wielkim Papieżem, a nie politykiem”? Komuś uwrażliwionemu na ton używanego języka mogą się te krytyki i rady kierowane w stronę Głowy Kościoła wydać niestosownością. Zgoda.

Felieton nie reprezentuje stanowiska redakcji; stanowi punkt wyjścia do dyskusji, którą zapowiadamy na naszych łamach

Sam wychowany w atmosferze ultramontańskiego kultu urzędu Ojca Świętego, niezależnie od tego kto akurat ów urząd sprawuje,

podzielam owo wrażenie niestosowności. Ale w pytaniu, które tu stawiam, nie idzie przecież ani o ton, ani o kościelną poprawność, tym bardziej, że autor owych krytyk i rad dla papieża – prezydent Donald Trump nie jest członkiem Kościoła Rzymskiego, choć sam aspiruje do bycia swego rodzaju „uogólnionym chrześcijaninem”. A też po kilku latach rządów Trumpa każdy rozumie, że gwałt na regułach stosowności i poprawności, uprawiany z premedytacją każdego dnia, jest znakiem firmowym tej prezydentury oraz manifestacją jej kontestacji zastanego porządku. Trump nie tylko nie byłby Trumpem, gdyby mówił językiem kulturalnej stosowności, ale też nie byłby wtedy tak charyzmatycznym przywódcą.

Prawdę mówiąc, samo pytanie o to, czy wolno krytykować papieża, sprawia wrażenie mało dorzeczne. Trudno przecież zamknąć oczy na fakty dowodzące, iż papieże nie tylko często prowadzili „okropną politykę zagraniczną”, ale – jak uznał Kościół – mylili się nawet w materii doktryny wiary. Przywoływane są często w tym kontekście przypadki papieża Wigiliusza, zmuszonego w końcu siłą przez cesarza Justyniana do odstąpienia od herezji nestoriańskiej, albo papieża Honoriusza I, ekskomunikowanego (chyba do dziś dnia) z powodu kwestionowania formuły soboru Chalcedońskiego o dwóch naturach Chrystusa. Oczywiście obecny spór nie dotyczy treści wiary, tylko natury polityki, ale tamte przypadki warto pamiętać, gdyż dowodzą, iż nawet na gruncie nauki wiary i w obrębie Kościoła Rzymskiego krytyka papieża nie jest wykluczona. A cóż dopiero, gdy idzie o papieską politykę! Ta zawsze była przedmiotem swobodnej oceny zarówno wewnątrz Kościoła, jak i tym bardziej poza nim. Po prostu dlatego, że wybór na Stolicę Piotrową nijak nie wiąże się ani z gwarancją talentu politycznego, ani z umiejętnością stawiania rozsądnych diagnoz politycznych. A nawet gorzej, gdyż patrząc na rzecz z perspektywy politycznych interesów Zachodu, trudno nie odnieść wrażenia, iż papieska polityka zbyt często bywała w ciągu ostatniego stulecia prowadzona tak, aby owym interesom zaszkodzić. Moją uwagę zwróciło teraz pryncypialne oburzenie prezydenckiego ministra Cenkiewicza, który krytykę papieża przez prezydenta USA uznał za „obrazę Wikariusza Chrystusa, a przez to wszystkich katolików”. Pamiętam bowiem niedysiejszego historyka doktora Cenkiewicza, którego czytałem z zapartym tchem, gdy demaskował i z pasją piętnował antyzachodnią zмовę papieża Jana XXIII z sowieckimi agentami, blokującą zamiar wielu uczciwych biskupów (wśród nich prymasa Wyszyńskiego), aby na Soborze Watykańskim II potępić „bezbożny komunizm”. Wolno zatem piętnować papieską politykę, czy też jest to zawsze „obrazą wszystkich katolików”?

Rzecz bowiem w tym, iż papieski atak na Trumpa, od którego zaczął się obecny konflikt, jest ewenementem, jak na dyplomatyczne obyczaje Stolicy Apostolskiej, przynajmniej w ciągu ostatniego stulecia. A z pewnością za mojego długiego już życia, nic podobnego nie miało dotąd miejsca. Wiadomo, że papieże, zwłaszcza ci posoborowi, nie jeden raz okazywali niezgodę na wojny prowadzone przez Amerykę. Paweł VI prosił o wstrzymanie bombardowań Wietnamu, a nawet wygłosił wtedy sławne orędzie w ONZ-ecie, ze słowami: „Nigdy więcej wojny!”. Jan Paweł II miał zniuansowany stosunek do bombardowań Belgradu, ale przy drugiej wojnie w Zatoce otwarcie podał w wątpliwość amerykański plan inwazji na Irak. Jednak papieże zawsze dotąd dbali, aby nie stawać się polityczną stroną w toczącej się wojnie i nie zwalczać tylko jednego z jej uczestników. Leon XIV zrobił zaś dwie rzeczy precedensowe. Przede wszystkim zainicjował kampanię spersonalizowanych oskarżeń i moralnego dezawuowania amerykańskiego prezydenta. Bo czymże innym były wypowiedziane 11 kwietnia, podczas różańca w Bazylice św. Piotra, i to z nieskrywaną namiętnością, słowa o „obłądnie wszechmocy, który staje się coraz bardziej nieprzewidywalny i agresywny” oraz o przywódcy „służącym śmierci”, gdyż „odwrócił się plecami do Boga żywego, aby z siebie samego i ze swej władzy uczynić bożka niemego, ślepego i głuchego, któremu składa się w ofierze wszelką wartość i domaga się, by cały świat ugiął przed nim kolano”. Niby sprytnie, bo ani razu nie pada tu nazwisko owego antychrysta, który uprawia „bałwochwalstwo samego siebie” i „epatuje siłą”. Ale przecież wszystko jest powiedziane tak, aby nikt nie miał cienia wątpliwości, jak nazywa się ów „bałwochwalca” i „służący śmierci”, zaś czołówki światowych gazet z dnia następnego potwierdziły tylko tę pewność. Cóż tu dodać! Ciężko by mi było nawet pomyśleć, jeślibym chciał, cięższą inwektywę wobec głowy republiki amerykańskiej.

Przeczytaj również: Rozważanie papieża Leona XIV podczas czuwania modlitewnego w intencji pokoju 11 kwietnia 2026

Tę straszną inwektywę, od której mróz wieje po plecach, jeśli uświadomić sobie, iż wypowiada ją Wikariusz Chrystusa, poprzedził o jeden dzień papieski akt stricte polityczny, jakim było nawoływanie na platformie X katolików amerykańskich do rezygnacji z poparcia dla prezydentury Trumpa. „Nikt kto jest uczniem Chrystusa, Księcia Pokoju – twittował papież – nie jest po stronie tych, którzy dawniej wymachiwali mieczem, a teraz zrzucają bomby”. Trudno sens owego papieskiego twitta rozumieć inaczej, jak postraszenie katolików popierających Trumpa groźbą grzechu. Ja w każdym razie, nie będąc przecież Amerykaninem i nie głosując na Trumpa, przeraziłem się treścią papieskiego twitta, tak bardzo skojarzył mi się on z ekskomuniką ludzi o moim poglądzie na wojnę perską. Ale potem pomyślałem, że to w istocie akt czysto polityczny, którego celem jest przesunięcie na rzecz lewicy nastrojów wśród amerykańskich katolików. Akt nie różniący się w swojej naturze od politycznych ekskomunik rzucanych przez papieży w przeszłości nagminnie, zwłaszcza na cesarzy, z powodu ich odmowy podporządkowania się aktualnej papieskiej polityce.

Bo też imperialny i egotyczny Trump – skądinąd nie całkiem bez racji – widzi siebie w roli daleko wykraczającej poza amerykańską prezydenturę, choć paradoksalnie głosi na użytek Amerykanów doktrynę narodowego egoizmu („America First”). Jednak domagając się w świecie posłuchu i przyznając sobie prawo do karania państw opornych oraz ich przywódców, Trump, dysponujący jednoosobowo całą potęgą amerykańską, faktycznie wszedł w rolę współczesnego cesarza Zachodu. Stąd zresztą biorą się wszystkie jego nieporozumienia ze starą Europą, która nie chce uznać swoistego „cesarskiego” zwierzchnictwa Ameryki. I zgodnie z cesarską tradycją, tak dobrze poświadczoną dziejami Europy, dla Trumpa – siedzący w Rzymie

papież, który rzuca wyzwanie globalnej cesarskiej polityce, nieuchronnie staje się cesarskim rywalem, któremu trzeba dać stanowczy odpór. Jeśli zaś z drugiej strony postawić sobie pytanie o przyczyny tak głębokiego zaangażowania Leona XIV w piętnowanie prezydenta USA, to na myśl przychodzą dwa wytłumaczenia. Pierwsze – dość trywialne, że papież jest Amerykaninem z Chicago, namiętnie przeżywającym toczący się w jego ojczyźnie zacięty spór o władzę, w którym wspiera oczywiście demokratów. Ale to nie tłumaczy jeszcze faktu, iż Leon XIV z taką pasją proklamuje w gruncie rzeczy przywódcę Ameryki jedynym wrogiem papieżstwa, nie zwracając większej uwagi na zbrodnicze reżimy Putina, Xi Dżinpinga, Kim Dżonguna, czy *last but not least* – perskich mułłów, masowo rozstrzeliwujących na ulicach Teheranu i wieszających na szubienicach studentów domagających się wolności. Myślę, że ten fenomen wyjaśnia dopiero hipoteza o toczącym się na nowo wielkim sporze cesarsko-papieskim, w którym Leon XIV kategorycznie odmawia uznania cesarskich uroszczeń Trumpa do przywództwa, jeśli nie nad światem, to co najmniej nad całym Zachodem. W zasadzie papież mówi o tym wprost w przywoływanym już tutaj, niezwykłym kazaniu, podczas różańca 11 kwietnia, piętnując „bałwochwalcę”, który „domaga się, by cały świat ugiął przed nim kolano”. Ten język nie różni się od języka niegdysiejszych klątw rzucanych przez Aleksandra III na cesarza Barbarosę, albo przez Klemensa V na ukochanego przez Dantego Luksemburga – cesarza Henryka VII. Mam nieodparte wrażenie, że tu tkwi sedno konfliktu pomiędzy papieżem Leonem i cesarzem Donaldem. Konfliktu który toczy się wokół nigdy nierozstrzygniętego pytania, czy papieżowi wolno rzucać kłody pod nogi cesarzowi, który pragnie zbudować polityczną potęgę Zachodu? Ja sam, jako gibelin z przekonania i polityczny stronnik Dantego, mam na nie zawsze jedną i tę samą odpowiedź: lepiej, by o ziemskie, polityczne interesy Zachodu dbał cesarz, a papież miarkował swe ataki na cesarstwo, czy pochopnie rzucane polityczne ekskomuniki. W każdym razie europejska historia wskazuje, iż zazwyczaj było to jednak lepsze rozwiązanie.

Mówiąc wprost i bez historycznych kamuflaży – chcę wyrazić pogląd, iż Trump miał nie tylko prawo, ale i obowiązek wystąpić w obronie swojej cesarskiej polityki. Byłby niepewnym swoich racji tchórzem, kryjącym głowę w piasek, jeśliby milczał w obliczu rozwijającej się papieskiej kampanii, nie tylko delegitymizującej wojnę prowadzoną przeciw perskiemu reżimowi, ale również moralnie przymuszającej katolików amerykańskich do wpisania się do lewicowego obozu politycznych wrogów prezydentury. Papieski twitt z dnia 10 kwietnia, nazywany teraz na poważnych katolickich portalach (np. kath.net) „niefortunnym”, nie pozostawiał w tej sprawie wątpliwości: żaden katolik nie może być w wojnie perskiej po stronie Trumpa. Co roztropniejsi biskupi próbują teraz jakoś osłabić złowieszczą wymowę papieskiego kazania z 11 kwietnia, jak i polityczny radykalizm wcześniejszego o jeden dzień „atomowego” papieskiego twitta. Kardynał Gerhard Müller, jeden z ostatnich autorytetów w dziedzinie treści wiary, w obszernym komentarzu do całej sytuacji tłumaczy, że zbrodniczy perski reżim, wbrew temu co mówi papież, może być zwalczany także za pomocą bomb, gdyż „brutalne zbrodnie przeciwko własnemu narodowi i innym narodom muszą być zwalczane sankcjami ekonomicznymi i środkami militarnymi”, zaś „niszczenie sprzętu wojennego państw dyktatorskich, a zwłaszcza ich zdolności do użycia broni jądrowej, nie jest moralnie nieuprawnione, a może nawet być historycznie konieczne”. Jeszcze dalej idzie popularny biskup Robert Barron, który w episkopacie amerykańskim odpowiada za „ewangelizację kultury” (no i jako lider organizacji *Word on Fire* jest bodaj najbardziej wpływowym na świecie propagatorem katolicyzmu w sieci), przekonując, iż co prawda „głoszenie doktryny katolickiej i zasad rządzących życiem moralnym jest prerogatywą papieża”, to jednak w tym konkretnym przypadku, „gdy idzie o konkretne zastosowanie tych zasad, ludzie dobrej woli mogą i z pewnością będą się z nimi nie zgadzać”. Barron czyni tu rzecz dla katolika niesłychanie istotną: odsuwa obawę, że polityczne popieranie Trumpa, mimo przestrogi papieża, prowadzić może do grzechu i potępienia. Ale co ciekawe, zarówno Müller, jak

i Barron upierają się, iż prezydent USA nie miał prawa do krytyki papieża. Trudno się z tym zgodzić, choć politycznie to rzecz zrozumiała: roztropni biskupi szukają jakiegoś wyjścia z sytuacji pod każdym względem fatalnej dla amerykańskich katolików.

Żałuję tego, iż jak dotąd z pomocą amerykańską nie udało się obalić zbrodniczego reżimu w Teheranie. I podejrzewam partyjne zafałszowanie sumienia u waszyngtońskiego kardynała McElroya, który w ślad za papieżem grzmiał 11 kwietnia podczas „pokojuowego nabożeństwa” w katedrze św. Mateusza, iż „zarówno rozpoczęcie tej wojny, jak i jej kontynuacja są moralnie nieuzasadnione”. Po czym w iście wiecowym klimacie domagał się, aby „wszyscy Amerykanie” odpowiedzieli Trumpowi: „Nie i nie!” „Nie w naszym imieniu, nie w tym czasie i nie w imieniu tego kraju” jest ponoć wojna perska. A wątpliwość co do intencji tego postępowego kardynała budzi choćby fakt, iż całe to antytrumpistowskie *theatrum* w waszyngtońskiej katedrze odbyło się wtedy, gdy Ameryka już trzy dni wcześniej ogłosiła rozejm, kończący wojnę. Nawiasem mówiąc, także te najostrzejsze wystąpienia papieża miały miejsce kilka dni po zawartym rozejmie, co wskazuje, że zamiar politycznego osłabienia Trumpa był tu istotniejszy, niżli doprowadzenie do rzeczywistego przerwania wojny. To co dodatkowo dla katolika krępujące, to fakt, iż ostro skrytykowany przez Trumpa papież teraz też próbuje chyłkiem osłabić wymowę swoich wcześniejszych wystąpień. Lecąc do Afryki, mówi dziennikarzowi AP: „Rzeczy, które mówię, z pewnością nie są pomyślane jako ataki na kogokolwiek, a moim zadaniem jest bycie budowniczym pokoju i głoszenie Ewangelii”. No cóż... nikt kto słuchał i czytał z uwagą słów papieża na temat wojny perskiej nie mógł mieć wątpliwości, ani kogo one dotyczą, ani przeciw komu są obrócone. Zwalanie teraz winy na złych dziennikarzy, szukających sensacji, jest dość trywialną sztuczką polityka, który dostrzegł, że posunął się za daleko i szuka sposobów na przerzucenie odpowiedzialności. Niestety, zły mechanizm polityki wciąga każdego, kto się nieostrożnie z nią obchodzi. Nawet Ojca Świętego.

*Jan Rokita*

fot. *Alex Kuhn / ArtService / Forum*

Przeczytaj też: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii  
Politycznej